

Nie ma czegoś takiego, jak edukacja

21 września 2021

Artykuł z 1910 roku.

Żyjemy w czasach bardziej niezwykłych, niż nam się wszystkim zdaje. To chyba jedyny dobry skutek, jaki instytucja wyborów powszechnych wywiera na ludzki umysł. Gdybyśmy zobaczyli starą pannę z anglikańskim modlitewnikiem w dłoni, zdziwiłoby nas to na pewno, a przynajmniej zaciekałoby, gdyby okazało się, że przy okazji praktykuje ona kanibalizm. Rozmowa z drobnym angielskim urzędnikiem zawsze jest ciekawsza, jeśli wychodzi w niej przypadkowo, że nasz interlokutor uważa się za prawowitego papieża. Otóż wierz mi lub nie, Czytelniku, ale nasza Anglia pełna jest takich osobliwych figur, które – same w sobie równie prozaiczne – wierzą w rzeczy równie niestworzone, a wręcz szalone. I prawdziwy i wieczny humor wyborów powszechnych polega dokładnie na tym, że ludzie ci zaczynają zabierać głos. Piszą listy. Zadają pytania. I człowiek zaczyna rozumieć nareszcie, że Anglia to naprawdę kraina elfów.

Moją tezę, że w angielskiej ignorancji tkwi jakiś element dziwny, nieomal magiczny, trzeba jednak dobrze rozumieć. Po pierwsze zatem: moja definicja ignorancji nie jest ani racjonalna, ani emocjonalna; krótko mówiąc: nie chodzi mi tutaj po prostu o różnicę zdań. Osobiście sędzę, że taki pan Haeckel [1] to wielki ignorant; każdy, kto zna trochę historię chrześcijaństwa widzi, że jego uwagi na temat historii chrześcijaństwa są takie, że – dosłownie – koń by się uśmieł. Idąc dalej: Lorda Milnera [2], na przykład, również mam za ignoranta – szczególnie w sprawie historii i kultury Anglii rzecz jasna, ale właściwie we wszystkich niemal sprawach z wyjątkiem dziennikarstwa. Ale to właśnie opinie, czy raczej przekonania. Nie fakty. Jak by nie spojrzeć, chrześcijaństwo i

Anglia to jednak dość złożone problemy. W tym jednak przypadku chodzi mi właśnie wyłącznie o ignorancję faktyczną, ewidentną – taką, jak gdyby powiedzieć, że Dickens napisał „Targowisko próżności” albo że Shropshire jest wyspą.

Otóż natężenie owej niewątpliwej, jak moglibyśmy powiedzieć: biało-czarnej, ignorancji w życiu społecznym, to rzecz dosłownie nie do uwierzenia. Na przykład, niedawno „Daily News” zbesztalo publicznie pewnego sympatycznego, starszego pastora, choć jego jedyną winą jest to, że wierzy we wszystko, co napiszą w „Daily Mail” [3]. Chodzi jednak o to, że dziennikarze „Daily News” przemilczeli jedyny bodaj naprawdę niezwykły fragment zupełnie zwyczajnej wypowiedzi tego zacnego jegomościa. Prawda, nazwał Lloyd George’a [4] „gryzipiórką”, a McKennę [5] „belfrem”, ale tylko dlatego, że przeczytał te określenia tego samego dnia w porannej gazecie. Zaraz potem jednak dodaje nasz śmiały gentleman coś własnego pomysłu – pisze: „Winston Churchill, dziennikarz”. Pewien jestem, że zrobił to zupełnie niewinnie. Że naprawdę święcie wierzył w to, że pan Churchill nadludzkim wysiłkiem wydzwignął się z biedy i błota Grub Street [6]. Że Winston Churchill tyle ma wspólnego z Randolphem Churchillem [7], co Will Crooks [8] z Sir Williamem Crookesem [9]. Otóż fakt, że pan Winston Churchill to polityk dziedziczny, członek jednego z najbogatszych i najpotężniejszych rodów Anglii, to po prostu fakt, który może się nam podobać bądź nie podobać. Możemy uważać, że jest dzięki temu urodzonym przywódcą albo zepsutym i leniwym pozerem. Ale to fakt; taki sam, jak to, że na wieży katedry św. Pawła stoi krzyż. I tego właśnie faktu okazał się nasz pocziwy, wiejski duszpasterz zupełnie i dziwnie nieświadom. Oto właśnie owa niebywała ignorancja i łatwowierność, o której mówię, że ujawnia się przy okazji wyborów powszechnych.

Kiedy indziej zgoła pewna szlachetna dama, gdy powiedziałem jej, że jestem liberałem, zupełnie poważnie zapytała mnie, czy naprawdę uważam, że lepiej by było, gdyby Anglią rządzili

Niemcy. Sądząc, że to dobra polityczna satyra, odpowiedziałem w podobnym tonie. Powiedziałem jej, że przecież już i tak w znacznej mierze rządzą nami Niemcy – i czasami dostają za to tytuły szlacheckie. Jej riposta omal nie zwała mnie z nóg. Bo okazało się, że w przekonaniu mojej zacnej interlokutorki pan premier Asquith [10] naprawdę i dosłownie miał pewnego dnia domagać się, aby Kaiser został królem Anglii! Uważała, że to jego oficjalny postulat. Miała jednak pewne wątpliwości, czy aby nie trochę ryzykowny. Powtarzam: ponownie odkrywamy dla ludzkości krainę elfów.

Bardziej interesująca jest jednak druga cecha tej społecznej ignorancji. To, mianowicie, że nie przejawiają jej wyłącznie, nawet nie przede wszystkim, klasy biedniejsze. Przeciwnie: jeżeli się pojawia, to raczej u wykształconych. Częściej spotka się ją u księży, niż u krętaczy. U dam, niż u sprzątaczek. Trudno byłoby znaleźć w Londynie (a przynajmniej w okolicach Westminsteru) dorożkarza, który nie wiedziałby, że Winston Churchill jest arystokratą; gdybyśmy zapytali jednak duszpasterzy służących przy katedrze – strzelam, że z pięciu nie miałoby tej świadomości. I gdybym naprawdę chciał komuś wmówić, że jestem zwolennikiem aneksji Anglii przez Niemcy, najłatwiejszym celem byłyby tu wyfiokowane szlachcianki ze zubożałych rodów. Drobną arystokrację popierają protekcjonizm – w praktyce chodzi częściej o swoisty protekcjonizm intelektualny, którego muru nic nie przebije. Przede wszystkim jednak klasy wykształcone cechuje coś, co nazwać moglibyśmy ignorancją akcydentalną: londyńczycy nie wiedzą nic o angielskiej wsi, mieszkańcy wsi – o rozwoju miejskim, szeregowi politycy o tym, co się pisze w opozycyjnych gazetach, a twardogłowi księża o dogmatach innych religii. I wszystko to razem zlewa się w jedną oceaniczną masę nieporozumienia, w której dziennikarz może pływać całymi dniami.

Prawda jest bowiem taka, że nie ma czegoś takiego, jak klasy wykształcone; z tego prostego powodu, że nie ma czegoś

takiego, jak edukacja. Są tylko różne rodzaje edukacji, a więc i różne typy, a właściwie style, ludzi wykształconych. Ktoś może dawać wykłady przed Królewskim Towarzystwem Jeździeckim i nie mieć pojęcia o tym, jak obstawiać na wyścigach – ba!, może przeprowadzać na koniach sekcje zwłok i kompletnie nie umieć na nich jeździć. Młody polityk może znać się bardzo na ekonomii, ale nie na gospodarce. I błędy popełnianie przez biskupów, bankierów czy biologów świadczą o ignorancji nie mniej, niż to, że dziecku mylą się litery alfabetu, a Indianin nie zna współczesnej astronomii. Każdy z nas jest ignorantem w jakiejś dziedzinie życia; większość z nas w większości z nich. Różnica między pychą a pokorą leży wyłącznie w świadomości – świadomości istnienia owych setek zawodów, w których by nam nie wyszło, tych setek egzaminów, których byśmy nie zdali. Nie mam nic przeciwko, aby taki hipotetyczny pan Roberts wiedział, że jest świetnym bilardzistą, a nawet zadzierał nosa aż do gwiazd na tę okoliczność. Chciałbym tylko, aby pamiętał przy tym, a raczej powtarzał sobie co dzień, jak litanie, że byłby także prawdopodobnie najgorszym puzonistą na świecie, słabym krawcem, trzeciorzędnym inżynierem okrętowym, nędznym mimem, rozczarowującym linoskoczkiem, podprzeciętnym komentatorem klasyki łacińskiej, no i, rzecz jasna, że nie najlepiej radziłby sobie na turnieju rycerskim. Być może trudno byłoby utrzymywać wszystkie te obrazy naszych potencjalnych niepowodzeń i klęsk przed oczyma wyobraźni przez dwadzieścia cztery godziny. Ale podobnie gigantyczna pokora ducha na pewno jest warta zachodu.

Jednym ze sposobów ułatwienia sobie tego zadania byłoby wprowadzenie do prawa angielskiego pojęcia stopnia ignorancji, podobnie jak teraz mamy stopnie wykształcenia. Moglibyśmy dostawać za to dyplomy. Na przykład, ktoś dostawałby piękny certyfikat potwierdzający, że na taki a taki temat nie wie zupełnie nic. „Dr. nauk humanistycznych” mógłby oznaczać nie doktora, a dramat nauk humanistycznych. „Lic.” – nie licencjat, a „licentia poetica” w jakiejś dziedzinie. Byłoby to dla nas wszystkich świeże i słodkie doświadczenie, gdybyśmy

zaczęli umieszczać na naszych wizytówkach czy dokumentach oficjalne informacje na temat tego, na czym się najbardziej nie znamy. Ja musiałbym dopisywać przed swoim imieniem tak wiele liter, że mogłoby to okazać się trochę niepraktyczne.

Autorstwo: Gilbert Keith Chesterton

Tłumaczenie: Maciej Sobiech

Źródło oryginalne: „Illustrated London News” z 5 lutego 1910 r.

Źródło polskie: NowyObywatel.pl

Przypisy tłumacza

[1] Ernst Heinrich Haeckel (1834–1919) – biolog niemiecki, próbujący transponować teorię ewolucji Darwina na grunt stricte filozoficzny.

[2] Sir Alfred Milner (1854–1925) – brytyjski polityk, gubernator Transwału i komisarz Afryki Południowej podczas II wojny burskiej.

[3] Niestety, bez dostępu do archiwów nie sposób ustalić, do jakiego artykułu prasowego Chesterton się odnosi.

[4] Lloyd George (1858–1945) – angielski polityk liberalny i ostatni premier Wielkiej Brytanii (w latach 1916–1922) z ramienia Partii Liberalnej.

[5] Reginald McKenna (1863–1943) – angielski polityk liberalny, pełniący różne funkcje w różnych rządach Wielkiej Brytanii.

[6] Ulica jednej z najbiedniejszych dzielnic w Londynie, słynna z tego, że mieszkało i pracowało tam wielu początkujących literatów aspirujących do normalnego życia.

[7] Lord Randolph Churchill (1849–1895) – angielski polityk konserwatywny, zwolennik tzw. demokracji torysowskiej, ruchu politycznego w łonie Partii Konserwatywnej, głoszącego

konieczność poparcia przez torysów demokratycznych reform w kraju i działania na rzecz tzw. mas. Ojciec Winstona.

[8] Will Crooks (1852–1921) – angielski działacz związkowy, bardzo zasłużony dla sprawy robotniczej, członek Towarzystwa Fabiańskiego.

[9] Sir William Crookes (1832–1919) – renomowany angielski fizyk i chemik, słynny z uznania realności zjawisk paranormalnych.

[10] Herbert Asquith (1852-1928) – angielski polityk liberalny, premier Anglii w latach 1908–1916, słynny z rozległych reform (m.in. reformy ubezpieczeniowej).